

Metamorfozy niemieckiej pamięci historycznej. Rozmowa z Piotrem Semką

Niemieccy naukowcy, wcielając się w rolę wychowawcy, biorą pod lupę Niemca, Szwajcara i Polaka i zadają sobie pytanie o to, co mógł on zrobić dla ofiar, a czego ostatecznie nie zrobił. To pomija fundamentalny aspekt polskiej rzeczywistości okupacyjnej, w której koszmar Holocaustu stanowił element najstraszniejszy, ale nie jedyny, maszyny totalitarnego terroru – mówi Piotr Semka w wywiadzie dla „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „(Nie)zapamiętani. Totalitaryzmy i ich ofiary”.

Karol Grabias (Teologia Polityczna): W swojej narracji historycznej Niemcy przedstawiają się jako lider europejskiej pamięci o zbrodniach dokonanych w trakcie drugiej wojny światowej. Ktoś, kto odrobił lekcję historii, przepracował swoje winy i jest obecnie państwem, które najpełniej jest w stanie opowiedzieć historię ofiar. Czy ta wizja historii jest według pana problematyczna?

Piotr Semka: Zaczniemy od pytania o to, skąd taki obraz Niemców w kontekście kultury pamięci się wziął, bowiem nie jest on czymś, co pojawiło się z dnia na dzień. Tuż po wojnie Niemcy mają przecież ogromny problem z przyjęciem do świadomości ogromu zbrodni, za które odpowiadał ich naród. W odruchu obronnym obwiniają za wszystko Hitlera, lub ewentualnie Hitlera wraz z generalicją partyjną i

aparatem SS – bo już Wehrmacht był broniony jako formacja rycerska, honorowa i pozbawiona krwi na rękach. Kolejną problematyczną kwestią jest trud nawiązania kontaktów z Polską. To dotyczy oczywiście RFN, bo NRD w swojej polityce podkreślało, że jest krajem zbudowanym przez ofiary nazizmu i komunistyczne podziemie antynazistowskie, więc jest to państwo wolne od brzemienia winy. Faktem jest, że część elit wschodnio-niemieckich, jak choćby Erich Honecker, cierpiała w trakcie wojny prześladowania, w tym zesłania do obozów koncentracyjnych – a jednocześnie większość obywateli NRD została zdenazyfikowana bardzo powierzchownie, więc przyjęła perspektywę władz jako swoistego rodzaju ideologię. Dla RFN cezurą staje się rok 1968, kiedy to młodzi ludzie rzucają w twarz swoim rodzicom oskarżenie, że należą do pokolenia morderców.

Rewolucja 1968 jako reset relacji polsko-niemieckich?

W ograniczonym, częściowym sensie. Ta zmiana atmosfery doprowadziła do otwarcia Zachodnich Niemiec na postawę przeproszenia za zbrodnie, pomogła również w akceptacji granicy na Odrze i Nysie. Z biegiem czasu okazało się, że rzucone przez młodych Niemców hasło „byliście mordercami” stało się jednocześnie argumentem za budową świata, w którym nie ma miejsca dla żadnych norm, które były akceptowane w poprzednich pokoleniach: a więc pojawiło się przyzwolenie na narkotyki, rewolucję obyczajową itd. Było w tym więcej pokoleniowego buntu, niż pogłębionej refleksji nad zbrodniami w Europie Środkowej i Wschodniej. Bo z nich pamiętano niemal wyłącznie o Holokauście, pomijając niemieckie zbrodnie na Polakach, Grekach, Białorusinach czy Jugosłowianach. Nieobecność tych ofiar w dyskursie nie była jeszcze aż tak drastyczna, dopóki żyło pokolenie wojenne, które pamiętało o bezmiarze niemieckich zbrodni

na innych narodach. Śladem tej pamięci były wizyty polskich biskupów w RFN, czy zaproszenie polskich księży do modlitwy na terenie obozu w Dachau. Ta generacja w pewnym momencie zrozumiała, że nie dojdzie do zjednoczenia Niemiec, jeśli Niemcy nie przepracują drugiej wojny światowej. Stąd ogromna otwartość niemieckich środowisk intelektualnych wobec takich postaci jak prof. Bartoszewski czy kontakty z Klubami Inteligencji Katolickiej. Ale w tych pojednawczych gestach kryło się coś, co Marek Cichocki nazwał mentalnością księżeczki czekowej.

Co charakteryzowało tę postawę niemieckich elit?

Polegało to na załatwianiu spraw z przeszłości za pomocą inicjowania i fundowania rozmaitych projektów, inwestycji, częściowych zapomóg dla ofiar przymusowej pracy. To była polityka bardzo niekonsekwentna, ponieważ Polska komunistyczna zrzekła się reparacji wojennych. Mimo tego Niemcy wspierali selektywne, sektorowe projekty, mające prowadzić do pojednania polsko-niemieckiego i budowy wspólnej kultury pamięci. Fala pojednania trwała przez jakiś czas i stopniowo zaczęła wygasać w latach 90., gdy podmiotowość polityczną uzyskuje kolejne pokolenie powojenne. Wie ono o Holokauście, ale zanika w nim już niemal zupełnie pamięć o zbrodniach na Polakach i innych narodach. Temu towarzyszy nowe zjawisko, które w znacznej mierze podcięło skrzydła pojednaniu polsko-niemieckiemu. To właśnie wtedy część niemieckich historyków i intelektualistów przyjęło rolę najwyższych ekspertów w refleksji nad Holokaustem.

To zjawisko, które dość wyraźnie obserwujemy dziś.

To prawda. Jego źródłem było przekonanie, że my, Niemcy mamy na sumieniu największą zbrodnię, udało się nam je już przepracować, zatem mamy prawo oceniać inne narody i mówić im, czy odrobiły swoją „pracę domową” z historii. To wtedy zaczęły się pojawiać głośno argumenty o polskim zaangażowaniu w Zagładę: o zbrodni w Jedwabnem, szmalcownictwie, współodpowiedzialności za Holokaust. Była to dość wygodna pozycja moralna dla Niemców, ponieważ z jednej strony zapewniała rolę strażników pamięci o Holokauście, a z drugiej pozwalała przenieść część odpowiedzialności za zbrodnię na Polaków: którzy zgodnie z tą narracją są trochę ofiarami, a trochę sprawcami. W tym kontekście przypomina się słynna okładka numeru Spiegla z 2009 roku, zatytułowanego „Komplizen”, czyli „Wspólnicy”. Sedno tego wydania sprowadzało się do konstatacji, że owszem, Holokaust miał miejsce i jest jedną z największych zbrodni w historii ludzkości, ale Niemcy nie byli sami, a wręcz przeciwnie: mieli do swojej dyspozycji chętnych współników, czy to w postaci Litwinów, którzy uczestniczyli w pogromach w Kownie w 1941, czy to Łotyszy, Estończyków lub Polaków. Z naszej perspektywy ten nurt patrzenia na historię stanowił zniweczenie wszystkiego, co udało się uzyskać na gruncie naszego pojednania.

Historia turbulencji naszej wspólnej pamięci się tu jednak nie kończy.

Najgorsze miało dopiero nadejść. W 2013 niemiecka telewizja publiczna ZDF wyprodukowała słynny już dziś serial *Nasze matki, nasi ojcowie*, w którym zawarty jest sugestywny i skandaliczny wizerunek polskiego podziemia niepodległościowego. Przypomnę tylko scenę, w której oddział AK-owców trafia na wagon załadowany ludnością

żydowską, by zdecydować o pozostawieniu tych ludzi na śmierć. To był moment, w którym opadły wszystkie maski i oskarżenia o współodpowiedzialność Polaków za Zagładę padły na głos i wprost. Towarzyszył temu proces ideologizacji ofiar, ustalenie kanonu ofiar mniej i bardziej wartościowych. Stworzono pomnik ofiar Holokaustu, ofiar pochodzenia romskiego i homoseksualistów – Niemcy nie zdecydowali się na postawienie pomnika komunistom i równocześnie wykluczyli z grona ofiar Polaków. Kiedy w 2012 roku odsłonięto pomnik Romów Władysław Bartoszewski poruszył sprawę pomnika polskich ofiar i ta sprawa do dzisiaj się nie zamknęła. Bo teoretycznie Bundestag uznał potrzebę uhonorowania polskich ofiar, ale nie wiadomo, jaką formę przybierze to upamiętnienie.

Jak sytuacja uznania niemieckich zbrodni na Polakach wygląda w tym momencie?

Z pewnością wygasło przekonanie Niemców o odrębności i wyjątkowości tych zbrodni, które w latach 70. było jeszcze obecne. Teraz dochodzi już do sytuacji, w których środowiska naukowe przykładają do Polaków żyjących w realiach okupacyjnych standardy zupełnie niedorzeczne. Podam przykład: *Deutsche Welle* informuje, że historycy z Bielefeld w Niemczech i z Krakowa będą badać „rolę i znaczenie osób, które obserwowały masowe morderstwo jako rzekomo niezaangażowane” – już samo określenie „rzekomo niezaangażowane” jest bardzo sugestywne. W nauce stosuje się pojęcie *bystander*, czyli biernego widza. Dowiadujemy się, że w tym projekcie zespół analityków przeanalizuje po 100 pamiętników „biernych widzów” z Niemiec, Austrii, Polski, Holandii, Francji, Szwecji, Wielkiej Brytanii i USA. Połowa z nich pochodzi od nieżydowskich społeczności, a połowa od żydowskich. Pojawia się tu fundamentalne pytanie: jak można

porównywać okupację w Polsce z okupacją na terenie Holandii, Francji, już nie mówiąc o Szwajcarii czy Wielkiej Brytanii? Odpowiedziałem na tę informację złośliwym felietonem, w którym przytoczyłem fragmenty książki *Ziele na kraterze* Melchiora Wańkowicza, opowiadającej o okupacyjnych losach swojej rodziny. Karty tej książki przesiąknięte są świadectwami codziennego doświadczenia terroru na polskiej ludności, obawy o własne życie, sytuacji, w których „strach rósł pod nogami jak trawa, strach wdzierał się do płuc jak zaduch, strach leżał na żołądku jak kamień, strach palił oczy”.

Doświadczenie, które było bardzo żywe w polskiej pamięci przez długie lata po zakończeniu wojny.

Było czymś oczywistym i krystalicznie jasnym. Te obrazy z książki Wańkowicza zderzam z pytaniem o kwestię *bystandingu*, którą postawili naukowcy z Bielefeld. *Bystanding* przejawia się przecież w tolerowaniu, w pasywnym uczestniczeniu, w dyskredytowaniu. Obejmuje również obserwowanie deportacji, tortur i zabójstw innych ludzi. Rozumiem stawianie takiej kwestii w miejscach, takich jak Protektorat Czech i Moraw, Francji, Holandii, Norwegii, gdzie ruch oporu był stosunkowo mały, a wywózki Żydów były drastycznym wyjątkiem od dość spokojnego przebiegu okupacji niemieckiej. Jednak chciałbym wyraźnie zapytać: ilu autorów pamiętników z Austrii, Niemiec, Holandii, Francji czy Szwajcarii usłyszało kiedykolwiek człowieka biegnącego środkiem ulicy i krzyczącego „łapanka!”, jak opisywał to Wańkowicz? Ilu z nich zaznało uczucia, kiedy strach rośnie pod nogami jak trawa? Chciałbym, by naukowcy z Krakowa, którzy zgodzili się wziąć udział w tym przedsięwzięciu Uniwersytetu z Bielefeld, opowiedzieli nam więcej na ten temat.

To obrazuje skalę niezrozumienia Niemców dla perspektywy ludności okupowanej w Polsce.

Ta zdolność, czy nawet chęć rozumienia przez lata stanowczo malała. Niemieccy naukowcy, wcielając się w rolę wychowawcy, biorą pod lupę Niemca, Szwajcara i Polaka i zadają sobie pytanie o to, co mógł on zrobić dla ofiar, a czego ostatecznie nie zrobił. To pomija fundamentalny aspekt rzeczywistości okupacyjnej, w której koszmar Holokaustu stanowił element – najstraszniejszy, ale nie jedyny – maszyny totalitarnego terroru. Mieszkaniec Wilna, tak jak Józef Mackiewicz, mógł być świadkiem Holokaustu, ale równolegle obserwować masakrę w Ponarach, jego ojciec mógł zginąć w Katyniu, a rodzina zostać wywieziona do Kazachstanu i zginąć bez śladu. Niczego takiego doświadczyć nie miał prawa ani Szwajcar, ani Austriak, ani Holender. Niestety, maszyna pojednania, która przez lata 70. i 80. poczyniła wiele postępów, obecnie pracuje na biegu wstecznym. Gdy w 2005 roku Lech Kaczyński nie zgodził się na organizację Parady Równości w Warszawie, Fundacja Adenauera zainicjowała dyskusję na ten temat. Jeden z respondentów niemieckich zapytany o to, czy jako Niemiec ma jakikolwiek mandat, do pouczenia prezydenta Warszawy, odpowiedział: „Właśnie dlatego, że my Niemcy wtrącaliśmy do obozów koncentracyjnych homoseksualistów, to naszym moralnym obowiązkiem jest opowiadanie się za homoseksualistami w krajach Europy, w których ich prawa są ciągle ignorowane”. To jest coś, co kiedyś jeden z izraelskich naukowców, których miałem okazję poznać, nazwał zasadą „skoro my byliśmy najlepsi w mordowaniu, to jesteśmy najlepsi w refleksji nad mordowaniem”. Było to bardzo złośliwe, ale jest w tym ziarno prawdy.

A jak wygląda kondycja pamięci Niemców o ofiarach komunizmu?

W tym obszarze również następowała ciekawa ewolucja. Oczywiście tuż po wojnie w NRD w ogóle nie było mowy o zbrodniach sowieckich, a sam temat uchodził za zakazany. Co najwyżej gdzieś, w zaciszu domowym, można było usłyszeć o wywiezieniu kogoś po wojnie na Syberię. Natomiast w RFN panowała swoboda w tej kwestii. Ona z kolei jednak stanowiła bardzo wygodny pretekst do odwracania się plecami od narodów wschodnich. Skoro były one komunistyczne – tak rozumowano – to są narodami zbrodniarzy i nie mówmy więcej o ponoszonych przez nie ofiarach. Potem, w 1968 roku nastąpiła zmiana, która z kolei poszła w jeszcze innym kierunku. Niemcy uważali, że w wyniku popełnionych przez siebie zbrodni stracili moralne prawo do krytykowania Związku Radzieckiego.

To dość przewrotny moralnie wniosek, szczególnie w kontekście późniejszego zwrotu w niemieckiej polityce pamięci.

To prawda. Wówczas funkcjonowała formuła głosząca, że „dwa razy w ciągu jednego stulecia z ziemi niemieckiej wyszła wojna przeciwko narodom rosyjskim”. Tu należy wspomnieć, że nie rozróżniano cierpień poszczególnych narodów: Ukraińców i Białorusinów. Reperkusje takiego myślenia pojawiły się jeszcze w styczniu tego roku, kiedy Annalena Baerbock zapytana, dlaczego Niemcy nie chcą sprzedawać broni Ukrainie, powiedziała: „My mamy historyczne zaszłości i nie chcemy, żeby niemiecka broń była używana na terenie wschodniej

Europy i aby ginęli od niej Rosjanie”. Ukraińcy zareagowali pytaniem o to, czy mają przysłać mapę obozów pracy, w których ginęli Ukraińcy i mapę wsi, które spalili Niemcy na Ukrainie.

A przecież na zbrodnie na wschodnim froncie nie ograniczały się do Ukrainy.

To samo dotyczy Białorusi. W świadomości niemieckiej w ogóle nie istnieje skala zbrodni wobec Białorusinów. Polityka Łukaszenki prowadzi zresztą do tego, że nie żądają oni żadnych odszkodowań. A wciąż żyją ludzie, którzy byli ofiarami palenia wiosek. Każdy, kto chce zobaczyć, jak to wyglądało, niech obejrzy wstrząsający film z 1985 roku *Idź i patrz*. Nawet w Polsce świadomość gehenny białoruskiej wsi jest niewielka. Chyba tylko Józef Mackiewicz pisał o tym, ile białoruska wieś wycierpiała od niemieckiego okupanta i sowieckiej partyzantki. Tu pojawia się kolejny niuans tej układanki. Obecnie wchodzimy w kolejną fazę, w ramach której rozmijamy się w naszej pamięci z niemieckimi elitami. To dlatego, że dla nas zimna wojna była formą obrony wolnego świata przed groźbą sowieckiej inwazji. Z niemieckiej perspektywy stanowiła zaś akt szaleństwa ze strony dwóch mocarstw atomowych, Ameryki i Związku Radzieckiego, które w ostatecznym rozrachunku same są sobie winne.

Niemcy mają żal do USA i Zachodu, że opowiadał się przeciw ZSRR?

Żywią pewnego rodzaju pretensję, że przez niemal pół wieku po wojnie zmuszeni byli żyć pod groźbą ataku nuklearnego. Stąd brały się powiedzonka, takie jak na przykład: „Tam, gdzie walczą słonie, tam cierpi trawa”. Zresztą wyciągnięto z tego konkretne wnioski. Walka o pokój miała również dla nas konsekwencje mało przyjemne konsekwencje. Wybuch Solidarności w latach 1980-1981 był przez wielu Niemców traktowany jako zagrożenie wszczęciem wojny. Teraz zresztą ta śpiewka wraca. Mało kto dzisiaj jeszcze pamięta, że gdy w 1983 roku Lech Wałęsa jako lider Solidarności otrzymał Nagrodę Nobla, to pojawiło się wówczas wiele głosów, jakoby postawił on Europę na granicy konfliktu. Za co w takim razie ta to za pokojowa nagroda?

Ten kuriozalny rodzaj pacyfizmu do złudzenia przypomina nam coś z współczesnego podwórka.

Ostatnio podobny ton pojawił się nie tylko w Niemczech, ale i w Polsce, w nieco innej tonacji. Mówiono: „Niech natychmiast skończy się wojna na Ukrainie. Im dłużej będzie taki konflikt trwał, tym większe prawdopodobieństwo, że – nawet przypadkiem – dojdzie do wymiany uderzeń atomowych, *ergo* Ukraina jest po części współwinna zagrożeniu europejskiemu”. To niemal kalka słów „Druga wojna światowa skończyła się tak, jak się skończyła, powstały pewne granice, ale ustabilizowały nasz kontynent i zapobiegły wojnie”. Ktoś, kto chce pokoju, nie może negocjować granic wpływów. *Ergo* Solidarność, występując ku wolności, narusza ten ład i staje się czynnikiem zagrażającym wojnie. Dzisiaj mówi się, że Ukraina aspirując do NATO „prowokuje” Rosję. Zgodnie z takim rozumowaniem naród pragnący wolności jest winny, bo destabilizuje sytuację i może pchnąć całą Europę w kierunku wojny. Jest to logika, którą – niestety – po cichu

wyznaje znaczna część polityków niemieckich. A jeśli dodać do tego jeszcze chęć handlowania z Rosją bez żadnych ograniczeń, to otrzymujemy optykę, w której to Ukraina jest współwinna wojny.

Ilustruje to szerszy problem z niemieckim paternalizmem wobec Europy Środkowej i Wschodniej.

Zdecydowanie tak. Zgodnie z tą wizją Europejczycy wschodni są niżsi kulturowo, ponieważ opowiadają się m.in. przeciwko małżeństwom homoseksualnym czy na przykład eutanazji, a do tego flirtują z nacjonalizmem i nie rozliczyli się ostatecznie z Holokaustem. W 2020 roku *Deutsche Welle* przygotowało reportaż na temat odbudowy budynków, które w czasie wojny zostały zburzone na Wzgórzu Zamkowym w Budapeszcie, a dokładniej w Budzie. Reportaż przedstawiał tę inicjatywę i zaprosił do zabrania głosu dwie osoby: opozycyjną burmistrz jednej z dzielnic Budapesztu oraz publicystę. Pierwsza z nich stwierdziła, że odbudowie zamku w kształcie, w jakim istniał on do 1945 r. przyświeca chęć wskrzeszenia mitologii faszystowskiego państwa Horthy'ego. Zaproszony publicysta z kolei odrzekł, że jego żona jest Żydówką i kiedy widzi odbudowę, to zaczyna mieć obawy o los swojej rodziny i powrót czasów dyktatury.

Renowacja zamku jako restauracja faszyzmu.

Zgodnie z taką narracją najważniejszym wydarzeniem II wojny światowej był Holokaust, każdy bez wyjątku nacjonalizm jest faszyzmem, a Europę Wschodnią zamieszkują narody, którym trzeba uważnie patrzeć na ręce, bo mogą zapragnąć powrotu do

autorytaryzmu i faszyzmu. Można złośliwie powiedzieć, że gdyby taka sama ekipa jak ta, która tworzyła wspomniany reportaż, przyjechała z Berlina w 1912 roku na Wschód, to doszłaby do wniosku, że jest to teren wymagający ucywilizowania, doprowadzenia do poziomu europejskiego. Ta tradycja myślenia ma swoje głębsze korzenie. Gdy 1848 roku wybuchła Wiosna Ludów, postępowcy z parlamentu niemieckiego powtarzali, że ich walka jest demokratyczna, a powstanie Polaków w Wielkopolsce szowinistyczne, katolickie i zacofane. Toczyła się wówczas debata w parlamencie frankfurckim, którą zainicjowali sami Polacy, domagający się przywrócenia państwa polskiego.

Jak ona przebiegała?

Większość delegatów poparła Wilhelma Jordana, który solidaryzowanie się niemieckich liberałów z Polakami zbywał takimi określeniami jak: „polskie upojenie”, „kosmopolityczny idealizm” czy „poetycki sentymentalizm”. Jednym z wielu popleczników Jordana był Ernst Moritz Arndt, który w tym samym roku pisał w eseju *Sprawiedliwość dla Polski*: „Zostaliście przyłączeni do mojej monarchii i musieliście rzec się waszej narodowości, a wasz język powinien być używany obok niemieckiego we wszystkich publicznych rozprawach, ale nie możecie negować faktu, że Wielkopolska jest w obrębie Niemiec. Możecie mieć prawa obywatelskie, możecie używać swojego języka, ale musicie uznać się niemieckimi obywatelami” – w tym wypadku miał na myśli zostanie obywatelem demokratycznych Niemiec, które miały wyłonić się z Wiosny Ludów. Arndt pisał dalej: „Polska i inni Słowianie ani w przeszłości, ani w teraźniejszości nie reprezentowali ducha świata, ponieważ liczne i mnogie plemiona Słowian i Wenedów nigdy nie wspierały i nie mogły wspierać ani państwa, ani nauki. Jaki jest wniosek? Narody te powinny zaakceptować swój status członków

państwa niemieckiego i oczywiście państwo demokratyczne, Prusy, powinny dać im jakąś niezależność, jednak nie mogą one aspirować do samodzielnej roli”.

Z Piotrem Semką rozmawiał Karol Grabias.

Foto: Thomas Wolf, www.foto-tw.de / Wikimedia Commons

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego.



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego